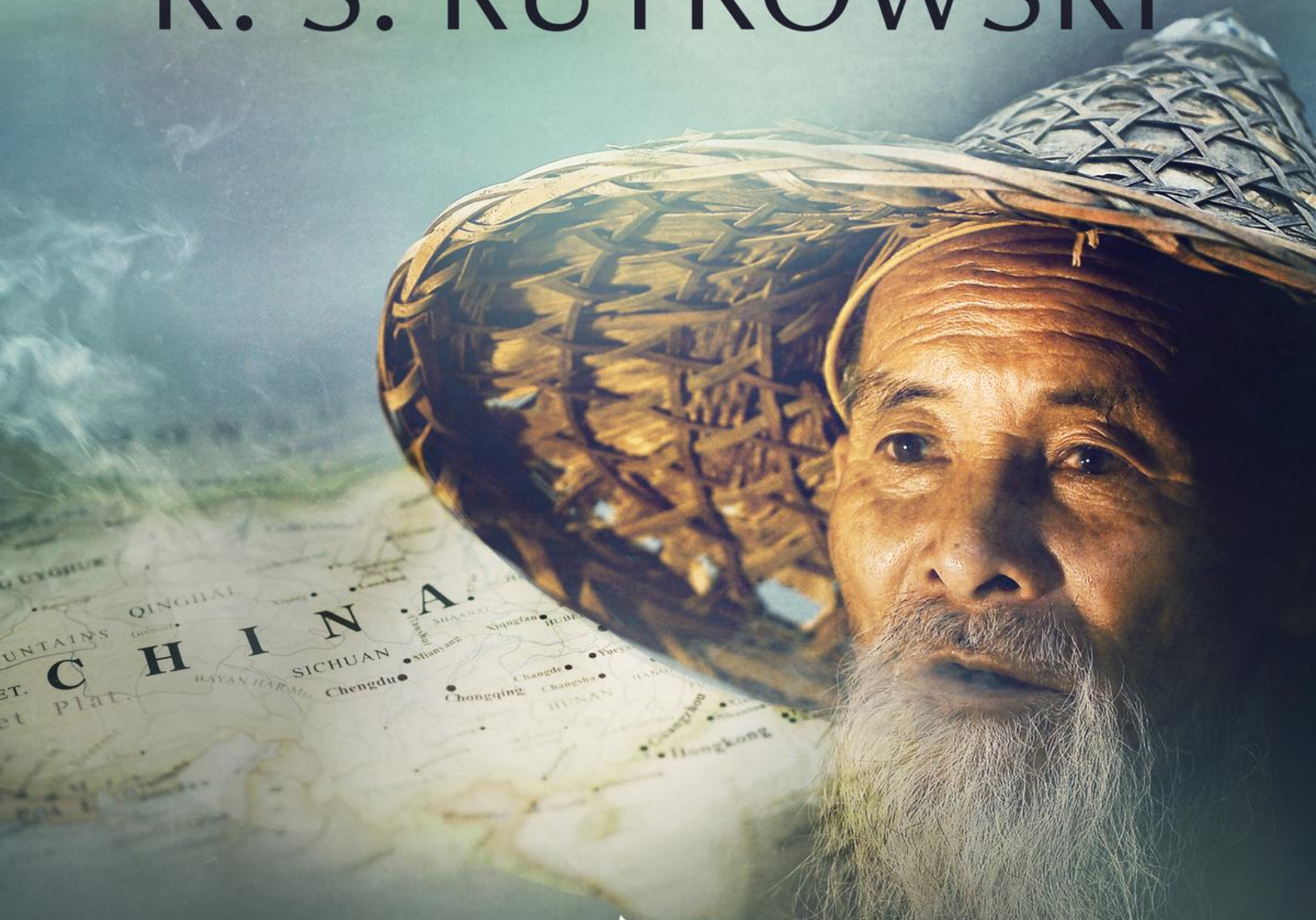
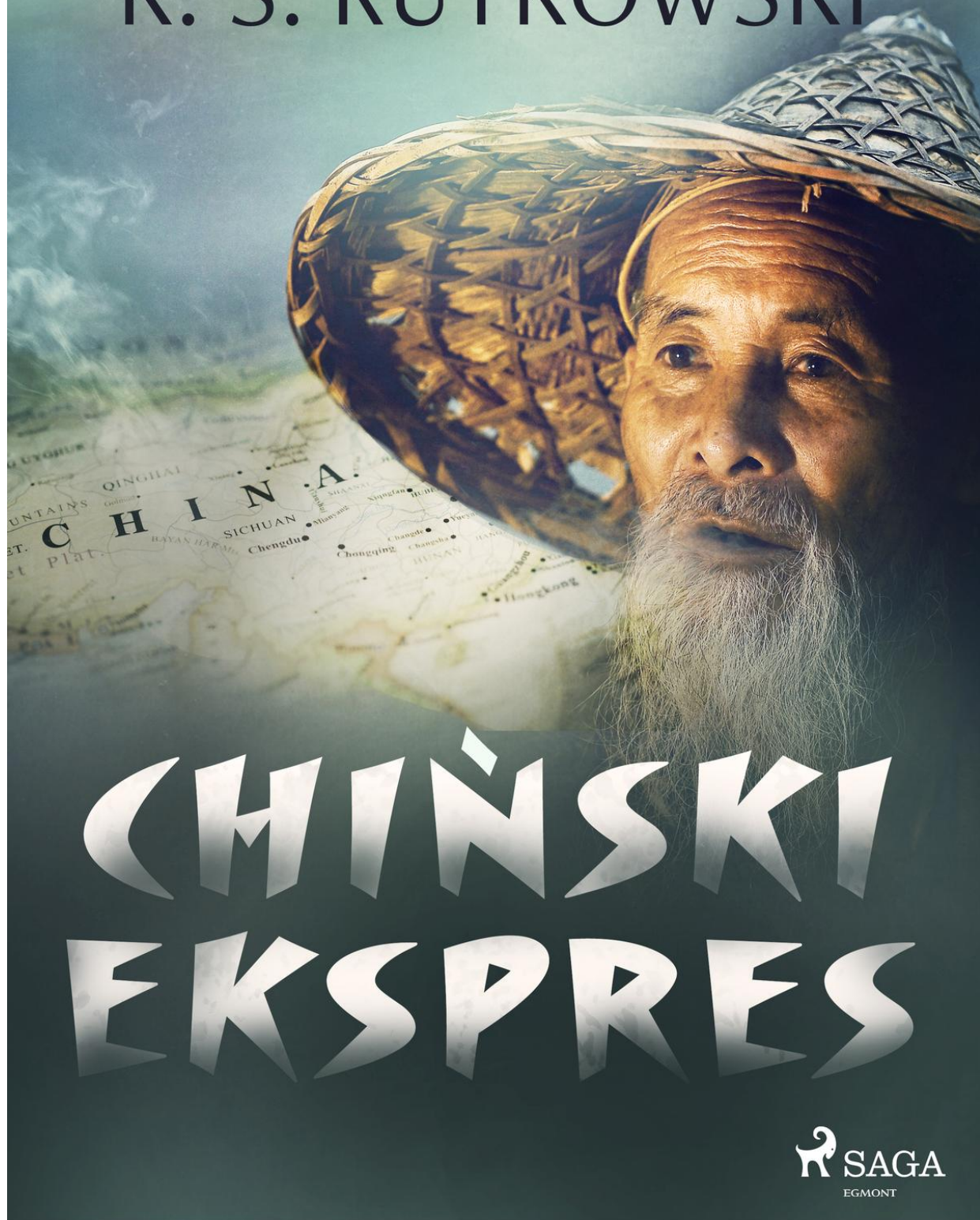


K. S. RUTKOWSKI



CHIŃSKI EKSPRES

K. S. RUTKOWSKI



 SAGA
EGMONT

K. S. Rutkowski

Chiński ekspres

Saga

Chiński ekspres

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Copyright © 2009, 2020 K. S. Rutkowski i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726626933

1. Wydanie w formie e-booka, 2020

Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą SAGA Egmont oraz autora.

SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

*Eli, Róży i Jagodzie
(postaraj się zejść dalej niż ja)
oraz tym,
którzy przeczytają tę książkę*

I

Jechaliśmy przez pół kraju na warszawskie lotnisko, aby rozpocząć podróż do Chin, a ja chciałem się zabić. Wbić się samochodem w jakieś drzewo, ścianę, runąć ze skarpy. Nie chciało mi się żyć, nie cieszył mnie nawet egzotyczny wyjazd. Ale obok mnie, na siedzeniu pasażera, jechała córka. Nie jestem dzieciobójcą, może i mam zepsuty łeb, ale jeszcze nie tak. To dla niej prowadziłem samochód, nie robiąc po drodze niczego głupiego.

2

Kilka tygodni wcześniej umarł mój ojciec. Przez dwa miesiące codziennie odwiedzałem go w szpitalu, co nie było dobre dla mojej słabej psychiki. Ciągnąłem już ostatkiem sił, balansując na samym skraju samobójstwa. Konanie Starego tylko pogłębiało mój parszywy stan, zmuszając mnie do myślenia o śmierci częściej niż powinienem o niej myśleć. Nie mogłem wyjść z kryzysu. Patrzeć, jak ktoś powoli umiera, jest największym kurestwem na świecie. A ja patrzyłem. Sześćdziesiąt parę dni. Co dzień oszukując Starego, że to jeszcze nie jego pora, że się z tego wyliże, że jeszcze obali z kumplami niejedną flaszkę. Przez jakiś czas w to wierzył. Potem zwątpienie wzięło w nim górę, aż w końcu się pod-dał. Umarł, a ja nawet nie mogłem się z żalu upić, ani nawet porządnie zapłakać, nie miałem kiedy. Zająłem się pogrzebem, a potem gdy ojciec leżał już w swoim dole z odzysku na starym cmentarzu w naszym rodzinnym mieście, też brakowało czasu na odreagowanie. Proza życia pochłaniała mnie bez reszty: dzieci, żona, codzienne zwykłe sprawy. Gotowało się wszystko we mnie, kotłowało, szukając jakiegoś ujścia i za cholerę żadnego znaleźć nie mogło.

Wszystko to wiozłem w sobie do Warszawy, bo nie miałem kiedy się tego pozbyć. Całą niechęć do świata, własnego życia, swoje wieloletnie frustracje, niepowodzenia, rozczarowania, problemy emocjonalne i każde inne. Ale też córkę. Dla niej dojechałem bezpiecznie.

3

Lot do Paryża liniami Air France trwał niecałe 2 godziny i był nudny, jak flaki z olejem. Francuskie stewardesy są podstarzałe i niezbyt ładne, nie było nawet na czym oka zawiesić. Nawet dla pasażerów płci żeńskiej na pokładzie nie było żadnej atrakcji. Jedyne steward był pedałem i to znie-wieściałym na maksa. Apaszka, kolczyk w uchu, kobiece ruchy i ukradkowe zerkanie na męskie rozporki podczas podawania posiłku. Ale nawet on wydawał się być wybrakowanym odrzutem z homoseksualnego świata.

4

Wylądowaliśmy na lotnisku Charles'a de Gaulle'a, gdzie na dzień dobry dałem dupy. Przed samolotem stała młoda dziewczyna, z kartonem, na którym było napisane Beijing. Jako wybitny poliglota, z podstawą rosyjskiego, tragicznym angielskim i umiejętnością sklecenia kilku zdań po hiszpańsku, nie wiedziałem, że cały zachodni świat tak właśnie nazywa Pekin i wsiałem z córką do jednego z dwóch dużych autobusów podstawionych pod samolot, olewając mały bu-sik, do którego naganiała dziewczyna. I to był błąd. Bo to był bus podstawiony dla polskiej wycieczki lecącej tranzytem przez Paryż do Pekinu. Połapałem się w tym dopiero, kiedy autobus ruszył. Po pierwsze - nikt w jego środku nie mówił po polsku. Po drugie - żaden podręczny bagaż, oprócz mojego i córki, nie był oznaczony plakietką biura podróży, którą kazała nam przyczepić do plecaków przedstawicielka biura na Okęciu, kiedy odbieraliśmy miejscówki.

Przyjechaliśmy na lotnisko w Polsce jako ostatni i nie miałem czasu przyjrzeć się innym członkom naszej wycieczki. Kiedy odebraliśmy bilety, oni wszyscy byli już po odprawie i buszowali po sklepach strefy bezcłowej lub chlali w jakimś lotniskowym barze. Zdążyłem obejrzeć kopię zbiorowej wizy, którą dostałem wraz z biletami i wiedziałem tylko, ile osób leci wraz z nami - 17. Nie znałem żadnych osób, których mogłem się trzymać na lotnisku w Paryżu i dlatego wyszło tak, jak wyszło. Wszyscy inni jechali do właściwego terminalu, a my, Bóg wie gdzie. Lotnisko Charles'a de Gaulle'a jest wielkie. Za wielkie dla 34-

letniego Polaka z nastoletnią córką, nie radzącego sobie z językami, mającego na dodatek tylko 45 minut do odlotu kolejnego samolotu. Za wielkie dla nieudacznika, nie radzącego sobie za dobrze na własnym podwórku, a co dopiero na progu Wielkiego Świata.

Autobus jechał z 5 minut i dotarł do celu. Tylko że jego kres podróży z pewnością nie był naszym. Weszliśmy do terminalu. Zerknąłem na monitory z wyświetlanymi odlotami i znalazłem nasz samolot. Odlatywał za 38 minut. Wyciągnąłem bilety i uważnie im się przyjrzałem. Stało na nich jak byk -terminal E. Rozejrzałem się i sprawdziłem w którym się znajdujemy. Z całą pewnością nie w E. Wkurwiony stanąłem na środku korytarza, rozglądając się dookoła. Nie miałem pojęcia, w którą stronę iść. Na ekranie, przy nazwie Beijing i numerze lotu, cyferki zamieniły się już na inne. Pozostało nam 36 minut. Moja córka miała już 13 lat i kumała całkiem dużo. Na przykład to, gdzie zawiodła nas moja inteligencja i znajomość świata. Ale widziała też moją minę i chociaż jest wygadana, tym razem jednak wołała się nie odzywać.

W końcu wypatrzyłem kobietę. Odróżniała się od reszty ludzi na lotnisku. Od razu było widać, że nigdzie nie leci, że ma w dupie te wszystkie samoloty i do żadnego nie wsiądzie. Że próbuje tylko odbębnić swoje 8 godzin i zwiać do domu. Ubrana była jak typowa kobieta, ale krótkofalówka w jej rękę nie pasowała do reszty i zdradzała jej profesję. Jakakolwiek ona była, musiała być związana z tym lotniskiem. Podeszedłem do niej uzbrojony w swój najlepszy uśmiech. Tylko on mi pozostał i czasem działał na kobiety, czasem nie. Częściej nie... Wyszczrzyłem więc krzywe zęby i dukając coś, pokazałem jej bilet, zaznaczając palcem numer terminalu. Była ładna, miała czym oddychać, namiętne usta, ale oczy zimnej suki. Jej spojrzenie z miejsca pytało „Czego ty, kurwa, ode mnie chcesz zagraniczny

bucu?”. No cóż, normalne podejście pracownika służby publicznej... Z niechęcią obejrzała bilet, po chwili pokręciła głową, powiedziała UUUU! i pokazała palcem przed siebie. A potem przebrała dwoma palcami szybko w powietrzu, co miało imitować kroki. Jako wybitnie bystra jednostka, w mig zrozumiałem. Mieliśmy się spieszyć. Terminal E był daleko i jeśli chcieliśmy zobaczyć Chiny, musieliśmy zagęszczać ruchy. Pokazując mi ten gest palcami, uśmiechnęła się szeroko, zwycięsko, jakby już spisała nas na straty.

I prawie jej się udało. Terminal E faktycznie był daleko. 32 minuty później wpadliśmy na niego zziębnięci i cuchnący potem jak skunksy. Dobiliśmy do właściwego geitu. Oczywiście wszyscy już byli w samolocie. Byliśmy ostatnimi pasażerami. Minuta później i pewnie pomachalibyśmy naszemu metalowemu ptaszysku przez szybę. Fuksem jednak udało się nam zdążyć. Ledwie co wsiedliśmy i odnaleźliśmy nasze miejsca, gdzieś z przodu trzasnęły drzwi, jakiś żabojad -pewnie pilot - wygłosił coś przez głośniki i samolot odfrunął. Na szczęście z nami w środku i tylko to się liczyło.

10 nudnych godzin później, po 6 miniaturowych heinekenach i 4 buteleczkach czerwonego wina, oraz nieciekawym filmie z Jackiem Nicholsonem i Morganem Freemanem obejrzanym po angielsku (z którego zrozumiałem tylko kilka prze-kleństw), znalazłem się nad Pekinem. Obudziłem córkę, za-pięliśmy pasy i, przynajmniej ja, rozpocząłem czekanie na koniec.

W nocy przed podróżą przyśniły mi się wybite zęby. To podobno oznacza śmierć. Oczywiście, od razu przyszła mi do głowy moja własna. Mogłem się z nią pogodzić, bo nie bardzo chciało mi się żyć, zwłaszcza ostatnio i nieraz myślałem o samobójstwie. Ale nie ze śmiercią swojego dziecka. Ono nie zasługiwało jeszcze na koniec, ja może